



Mirosław Derecki

ŚRODOWISKO LUBELSKIE (10)

WALDEMAR I TOWARZYSZE

Na samym początku lat sześćdziesiątych uratowała „Kamenę” przed zagładą nowo powstała „unia kulturalna czterech województw”: białostockiego, kieleckiego, lubelskiego i rzeszowskiego, zwana niekiedy przez złośliwców „kieszonkową Unią Lubelską”.

W 1961 r. nad polską kulturą zaczął wzbierać kolejny podmuch centralizmu. Mówiło się m.in. o potrzebie likwidacji niektórych „nierentownych” czasopism kulturalnych; widmo kasacji zawisło również nad „Kameną”, która - po reaktywowaniu jej w 1952 r. jako pisma Lubelskiego Oddziału ZLP - teraz właśnie osiągnęła wyrównany poziom i zgromadziła spory zastęp młodych współpracowników (Jerzy Ludwiński, Zdzisław Jastrzębski, Tadeusz Kłak, Edward Stachura, Andrzej Tchorzewski, Henryk Pająk), choć pod względem finansowym nadal wegetowała na dotacji Wydziału Kultury WRN. Chodziła nawet po środowisku lubelskim nie pozbawiona cech prawdopodobieństwa plotka, że „Kamena” przestanie się ukazywać z dniem 1 stycznia 1962 r. Pamiętam to doskonale, bo miałem „napięty” od nowego roku etat w „Kamenie” i moje nadzieje zaczęły walić się w gruzy.

Tymczasem nagle wszystko się odmieniło jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej: „kieszonkowa Unia” potrzebowała swojego periodyku, organu odzwierciedlającego poczynania artystyczne i kulturalne w czterech wschodnich województwach. I takim właśnie pismem stała się „Kamena”. Zawdzięczać to należy przede wszystkim szeregowi zręcznych manewrów taktycznych Marii Bechczyc-Rudnickiej, która potrafiła w odpowiednim momencie błyskawicznie „chwycić wiatr w żagle”. Ale nie byłoby to z kolei możliwe bez zrobienia kilka miesięcy wcześniej pierwszego kroku, który należał do Olka Gabrusiewicza, usiłującego znaleźć w Białymstoku jaki sensowny dla siebie modus vivendi...

Olka zawsze fascynował teatr. Marzył o reżyserii. Dlatego, studiując na razie polonistykę na UMCS w Lublinie, brał bardzo czynny udział w studenckim życiu teatralnym, był współzałożycielem wzorowanego na krakowskiej „Piwnicy” kabaretu „Sex”, próbował krytyki teatralnej, pracę magisterską pisał na temat dramatów Szaniawskiego. Po uzyskaniu magisterium musiał jednak wracać do matki mieszkającej samotnie w Białymstoku. I w ten

sposób marzenia o warszawskiej Wyższej Szkole Teatralnej zaczęły coraz bardziej odpywać w siną dal.

Białystok w owych latach przyjmował wszystkich humanistów z ukończonymi wyższymi studiami szczególnie serdecznie. Po prostu - nie było rąk do pracy „w kulturze”. Słynny na pół Polski był casus kierownika Klubu MPiK w Białymstoku, człowieka z tak zwanego awansu społecznego - zresztą sympatycznego, siwowłosego kompana przy kieliszku - który, przedstawiając pewnego razu publiczności przybyłego z Warszawy na wieczór autorski poetę starszego pokolenia, uświadomił sobie nagle, że nie wie, jak brzmi nazwisko gościa. Wygłosiwszy zatem sakramentalne: „Drodzy Państwo! Witamy serdecznie przybyłego do nas znanego poetę” - zwrócił się do siedzącego już przy stoliku mistrza: - „Nu, jak godność, znaczy siii...? Jak sii, nazywaciii, a...?” - „Władysław Broniewski” - odparł zgodnie z prawdą zapytany. „Nu, Broniewski on siii, ówże nasz poeta nazywa...” - zakończył prezentację kierownik.

Olek Gabrusiewicz zaczął pracować w Wojewódzkim Domu Kultury, próbował sił jako asystent reżysera w miejscowym teatrze dramatycznym, był jednym z założycieli powstałego na przełomie 1959 i 1960 r. Białostockiego Teatru Propozycji. Działał tam jako kierownik artystyczny i reżyser, realizując m.in. przedstawienie „Widoku z mostu” Arthura Millera.

W tym właśnie okresie znacznego ożywienia białostockiego środowiska zaczęły się podnosić głosy o potrzebie powołania w Białymstoku pisma społeczno-kulturalnego. Był to, niestety, pomysł zupełnie nierealny. I wtedy Olek wpadł na myśl, żeby zwrócić się do redakcji „Kameny” z propozycją współpracy.

„Kamena” użyczałaby co pewien czas Białystokowi kilku kolumn - związane z tym przedsięwzięciem koszty pokrywałby białostocki Wydział Kultury WRN. Zysk z takiej operacji byłby obopólny: Białystok miałby swoją kulturalno-społeczną „wkładkę”, zaś „Kamena” - zwiększony obszar czytelniczy. Oczywiście zbiegło się to z narastającymi już coraz bardziej tendencjami zawiązania „unii kulturalnej czterech województw”.

Pisał później na temat „unii” - już po zawarciu umowy o współpracy - Lesław Gnot na łamach „Kameny” z 30 listopada 1961 r., w artykule „Nowa Unia Lubelska”: „Wiadomo na przykład powszechnie, że zarówno Białystok, jak i Rzeszów i Kielce toczą długą batalię o stworzenie regionalnych pism społeczno-kulturalnych. Niestety, wiadomo również, że przy aktualnym deficycie papieru, słabości bazy poligraficznej itp. starania te nie rokują większych nadziei. Z drugiej strony lubelska „Kamena”, nakreślając sobie ambitne plany mocniejszego powiązania z życiem, podniesienia poziomu pisma, czuje potrzebę wyjścia poza lubelskie podwórko, rozszerzenia zarówno bazy czytelników jak i autorów o sąsiednie - pokrewne środowiska. Tak więc mariaż ten wydaje się jak najbardziej korzystny dla obu stron”.

Podobne korzyści widział Gnot we współpracy teatrów, środowisk muzycznych, w zwiększeniu możliwości wydawniczych. I kończył artykuł słowami: „I dlatego współpraca kulturalna 4 województw, choć nie jest nową wersją „Unii Lubelskiej”, na pewno zasługuje na poważne potraktowanie. Płynące stąd korzyści będziemy w stanie ocenić dopiero po pewnym czasie, ale już dziś wiadomo, że będą one niemałe”.

Związany następnie na szereg lat z winiętą „Kameny” podtytuł: „Lublin - Białystok - Kielce - Rzeszów” pojawił się po raz pierwszy w rozpoczynającym kolejny rok numerze dwutygodnika z datą 15 stycznia 1962 r. Ale już kilka miesięcy wcześniej zaczęły się na łamach pisma pojawiać „autonomiczne kolumny” regionalne opatrzone winiętami: „RZESZÓW”, „BIAŁYSTOK”, „KIELECKIE”. A jeszcze wcześniej, w numerze 19 „Kameny” z 15 października 1961 r., znalazły się cztery strony prezentujące problemy województwa białostockiego. Nadtytuł na fioletowej amplii głosił: „MÓWI BIAŁYSTOK” i opatrzony był nawet herbem stolicy województwa. Tę pierwszą, białostocką „wkładkę” zredagował Olek Gabrusiewicz. On też został następnie przedstawicielem „Kameny” na Białostocczyźnie i wszedł w skład kolegium redakcyjnego.

Dzięki „unii czterech województw” zyskała „Kamena” za jednym zamachem ogromny obszar czytelniczy, wzbogaciła się o nowe pióra, weszła - dzięki swym przedstawicielom - w zupełnie nowe środowiska kulturalne i artystyczne.

W Białymstoku rezydował jako redaktor „Kameny” Aleksander Gabrusiewicz, w Rzeszowie - Jerzy Pleśniarowicz, na Kielecczyźnie reprezentował pismo Waldemar Babinicz. Wszyscy byli w jakiś sposób związani uprzednio z Lublinem, natomiast rozrzut wiekowy był ogromny: Gabrusiewicz był tuż po studiach i liczył lat dwadzieścia sześć, Pleśniarowicz należał do pokolenia Kolumbów, Babinicz zbliżał się do emerytury. Pierwszy był świeżo upieczonym humanistą podatnym na artystyczne nowinki, drugi - doskonale niegdyś zapowiadającym się poetą, który następnie poświęcił się reżyserii teatralnej, trzeci - publicystą, prozaikiem, pedagogiem i działaczem społecznym, dyrektorem słynnego Uniwersytetu Ludowego w Różnicy koło Jędrzejowa. Nic dziwnego, że każdy z nich inaczej rozumiał swoją rolę w „Kamenie” i inaczej widział problemy reprezentowanego przez siebie województwa. A to z kolei nie mogło nie odbijać się na sposobie redagowania pisma i na publicystyczno-artystycznej linii „Kameny”.

Najściślej związany był z Lublinem Jerzy Pleśniarowicz. Spędził tutaj dzieciństwo i młodość. Tu zdawał maturę w Gimnazjum im. Stanisława Staszica, potem studiował na KUL-u, pracował w Resorcie Kultury i Sztuki PKWN i stąd wyemigrował wreszcie do Rzeszowa, aby objąć stanowisko kierownika literackiego Teatru im. Wandy Siemaszkowej, a później także funkcję reżysera.

Mając siedemnaście lat, zadebiutował w „Pionie” wierszem „Ballada ułańska”. W niespełna dwa lata później, w 1939 r., Hoesick wydał mu tomik poetycki „Śpiew pierwszy”. Był już wówczas Pleśniarowicz laureatem pierwszej nagrody w zorganizowanym przez Polską Akademię Literatury konkursie poetyckim dla maturzystów.

Tak oto zapamiętał go z lat szkolnych Zygmunt Mikulski w swej wspomnieniowej książce „Tamten Lublin”: „Są dzieci przedwcześnie uzdolnione w dziedzinie muzyki. Pleśniarowicz był Mozartem inteligencji. Właśnie ten piętnastoletni. Stwierdzam to niezależnie od faktu, że późniejsze doświadczenia osób innych mogą w tych słowach widzieć tylko przesadę. (...) „Kroił” własną osobowość, autokreował się wewnątrz z trafnością, jakiej nie osiągnąłby sam skutek wychowawczy. (...) A już w kursie języka polskiego szedł własnym krokiem. To nie było celujące sekundowanie podręcznikowi. To było permanentne seminarium u Brücknera, Chrzanowskiego, Chlebowskiego, Pigionia i Piłata równocześnie, a przede wszystkim pełen energii i bezbłędnej pewności rejs po zagadnieniach daleko wykraczających poza zasięg choćby najbystrzejszej uczniowskiej pojętności. Było to coś jak nowy przedmiot w programie szkolnym. Nawet nam niedostępny”.

Pleśniarowicz jeszcze przed wojną drukował pierwsze wiersze w chełmskiej (wówczas!) „Kamenie”. Kiedy po wyzwoleniu Kazimierz Andrzej Jaworski wznawiał w Lublinie „Kamenę”, ukonstytuował zespół redakcyjny, w którego skład miał - poza nim samym - wchodzić jeszcze Jacek Bocheński i właśnie - Jerzy Pleśniarowicz. „W tym triumwiracie - wspominał po latach na stronach „W kręgu „Kameny” K.A.J. - Jacek Bocheński miał się zająć administracją pisma i wraz z Pleśniarowiczem dostarczać do not wiadomości z lubelskiego życia kulturalnego. (...) Ale „zespół” w rzeczywistości był fikcją. Bocheński pomagał przy drukowaniu trzech pierwszych zeszytów, potem zajął się redakcją lubelskiego „Światła”. (...) Wreszcie przeniósł się do Warszawy. Cała pomoc Pleśniarowicza ograniczyła się do zamieszczenia krótkiej notatki w jednym tylko numerze”.

Oto cały Pleśniarowicz! Błyskotliwy, niezwykle inteligentny, erudyta, artysta rokujący najwyższe nadzieje, i nagle coś się w nim rozmywa, czegoś nie doprowadza do końca, spala się w tysiącach nachodzących go pomysłów i wątpliwości, ginie w nadmiarze własnej elokwencji...

W czasie studiów na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim był ulubionym uczniem profesora Kleinera. Ale - choć mijały kolejne semestry - wciąż nie przystępował do egzaminu u Profesora. Tłumaczył się przed nim, że jeszcze za mało wie, musi się tego i owego nauczyć... Wreszcie prof. Kleiner, widząc że inaczej sobie z Pleśniarowiczem nie poradzi, wyciągnął go na wspólny spacer i wdał się w dyskusję o literaturze. Pod koniec spaceru wyciągnął rękę na pożegnanie, jednocześnie oświadczając: „Dziękuję za przechadzkę. A egzamin pan u mnie właśnie zdał. Na piątkę”.

Jerzy Pleśniarowicz był doskonałym pływakiem. Ile razy latem wpadł do Lublina, zawsze pojawiał się - po załatwieniu spraw redakcyjnych - na basenie (dziś już nieczynnym) przy Gimnazjum im. Staszica: w wodzie jego masywne ciało nabierało lekkości i zwinności. Ale nawet wada niezdolna była zahamować nie kończącego się potoku wymowy pana Jurka. Kiedyś pływał za mną długo „klasykiem” i za każdym razem, po wynurzeniu głowy z wody, częstował mnie kolejnym zdaniem jakiejś swojej opowieści. Prawdę powiedziawszy, było to mniej męczące niż wówczas, kiedy przytrzymywał w czasie rozmowy delikwenta za klapy marynarki, żeby mu ten przypadkiem nie uciekł...

Był Pleśniarowicz doskonałym przekładowcą - tłumaczył poezję i prozę z wielu języków: z rosyjskiego, ukraińskiego, czeskiego, słowackiego, a także z francuskiego. Był też autorem licznych adaptacji scenicznych, m.in. utworów Czechowa i Gorkiego. Po jego śmierci ukazał się obszerny tom tłumaczeń wierszy z języków słowiańskich.

Jako przedstawiciel Rzeszowszczyzny w „Kamienie” czterech województw Pleśniarowicz działał niezbyt wiele. Otrzymał właśnie w tym czasie stypendium rządu francuskiego na studia w Instytucie Teatralnym Sorbony; odbywał równocześnie praktykę reżyserską w Théâtre National Populaire. Siedział przez chyba półtora roku w Paryżu, a w sprawach redakcyjnych zastępowała go żona, Blanka. Ta długotrwała nieobecność spowodowała, że w końcu zastąpił go, na stałe, w „Kamienie” - kto inny.

Na kolegia redakcyjne przywoził zwykle ze sobą pan Jurek kolejne płody literackie znanego rzeszowskiego pisarza Romana Turka (nie wiem dotąd, czy tak uwielbiał jego twórczość, czy też nie miał czasu na organizowanie innych materiałów, a Turek widocznie stale był „pod ręką”?). Najgłośniejszą z tego podśmiewał Konrad Bielski.

Popatrywał na to krytycznie Waldemar. Ale nic nie mówił. Zabraniało mu tego poczucie własnej godności, którą cenił sobie bardzo wysoko jako Pisarz oraz Działacz.

Z całej drobnej figurki Waldemara, z jego twarzy obciążonej cienką, pergamin przypominającą skórą, zapracowanych idealnie „na kant” spodni i wyczyszczonych „na lustro” czarnych półbutów była powaga i odpowiedzialność, jakie powinny cechować człowieka pióra... Babinicz nie darzył mnie szczególną sympatią od momentu, kiedy nazwałem go w rozmowie z kimś znajomym „Waldemarem, ordynatem Rożnickim”. To sparafrazowanie tytułu znanej powieści Heleny Mniszek odebrał dyrektor Uniwersytetu Ludowego jako przytyk do poziomu jego literackiej twórczości. Co zresztą nie było prawdą. Po prostu - tak mi się powiedziało.

Po prawdzie to Babinicz pochodził z Kowla i nie był - oczywiście - żadnym ordynatem, tylko synem tamtejszego notariusza. Do szkół uczęszczał w Chełmie i w Lublinie, należał przed pierwsze wojną światową do harcerstwa, a w czasie wojny - do P.O.W. W latach II Rzeczypospolitej studiował romanistykę na KUL-u i w Wilnie, a następnie został

nauczycielem w szkołach ogólnokształcących oraz rolniczych. Na kilka lat przed wybuchem ostatniej wojny przeniósł się do Warszawy i pracował jako dziennikarz. Za czasów okupacji znów wrócił do zawodu nauczycielskiego. Prowadził na Kielecczyźnie tajny Uniwersytet Ludowy. Po wyzwoleniu zorganizował Uniwersytet Ludowy w Różnicy, którego został dyrektorem.

Różnicy poświęcił Babinicz kilkadziesiąt lat. Była to jego pasja życiowa - owo kształcenie młodzieży wiejskiej na pracowników świetlic i klubów, na ludowych działaczy kultury. Tutaj również czerpał tematy do swoich książek.

Pisał o twórczości Babinicza Włodzimierz Maciąg: „Większość dorobku Babinicza związana jest z doświadczeniami nauczyciela i działacza kulturalnego na wsi, w latach powojennych. Wieś, jako środowisko awansujące, przełamujące stopniowo stare tradycje i nawyki ambicje młodego pokolenia - oto sceneria pracy Babinicza i zarazem problematyka jego reportaży”.

Debiutował bardzo późno, bo po pięćdziesiątce, w 1954 r., tomem opowiadań „Zapalone pochodnie”. Znany stał się po „Listach z parafii” - znowu: tomie opowiadań-reportaży, gatunku bardzo charakterystycznego dla jego twórczości. Potem już co roku albo i częściej ukazywała się kolejna książka - powieść lub zbiór reportaży. Jakby chciał nadrobić utracony czas: „Apostołowie”, „Obecny”, „Za ścianą”, „Rówieśnicy”, „Drzazgi”, „Fontanna”... Ostatni tom wydany przed śmiercią nosił tytuł: „Zaczarowane laski”. Już po śmierci Waldemara Babinicza, w 1970 r., ukazała się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego jego ostatnia książka - „Wyznanie po ślubie”.

Był autorem niezwykle płodnym. W ciągu piętnastu lat wydał dwadzieścia książek, nie mówiąc o licznych publikacjach w periodykach kulturalnych.

Dużo także pisano o nim samym. Jako że reprezentował atrakcyjny zawsze, i trochę egzotyczny - dla związanych wszak głównie z miastem, dziennikarzy i krytyków literackich - typ nauczyciela-literata z prowincji, męskiej „Siłaczki”, której, udało się zrealizować swoje idee szerzenia „oświaty kagańca”...

Wynikała poza tym z pisarstwa Babinicza opinia antyklerykała i prześmiewcy z „religijnej ciemnoty” (notabene miał serdecznego przyjaciela, księdza, który wiele mu wybaczał) oraz kojące, dla niektórych, przeświadczenie, że wieś polska składa się na ogół ze zdrowych moralnie i psychicznie, otwartych na świat, socjalizm i kulturę, młodych ludzi.

Gościnność Babinicza była znana w środowisku literackim i w Różnicy odbywały się niejedną raz sympozja gromadzące najbardziej znakomitych polskich pisarzy.

Jako przedstawiciel „Kamieny” patronował Waldemar Babinicz młodej kieleckiej grupie literackiej „Ponidzie” (min. Beata Batuk, Ryszard Fatyga, Stanisław Gleń, Henryk Jachimowski, Ryszard Miernik), która jednakowoż po pewnym czasie zaczęła czynić starania

w celu wyzwolenia się spod literackiej kurateli dużo starszego kolegi po piórze. W samej zaś redakcji był Babinicz dodatkowo ceniony za swoje rozliczne „chody” ministerialne, wśród ludzi pióra i działaczy kultury najwyższego szczebla.

Miał też wielu wrogów. Toteż w 1968 r. postarali się oni, żeby Babinicz opuścił Różnicę. Osiedlił się w Nałęczowie, ale długo już nie pożył. Zmarł w następnym roku w lubelskim szpitalu na serce.

Także na serce zmarł, przed kilku laty, Olek Gabrusiewicz. On, z kolei, zawędrował w końcu na Kielecczyznę...

„Unia kulturalna czterech województw” okazała się, w przypadku „Kamenu”, przedsięwzięciem korzystnym. Dała pismu podstawy bytu, wzmocniła jego pozycję i jego znaczenie. Po kilku latach podtytuł „Lublin - Białystok - Kielce - Rzeszów” zniknął jednak z winiety. Po prostu nie był już potrzebny. W województwach „ościennych” powstały nowe, „własne” periodyki społeczno-kulturalne, z doskonałymi białostockimi „Kontrastami” na czele.

Pierwodruk: „Kamena”, 1983, nr 14, s. 4-5.